



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW



45. Z OKOLIC WARSZAWY. W MILANÓWKU

fst. M. Wisznick



WAWEL-GRODZISKO

Wiele lat spoglądali uczeni na Wawel poządlawie. Historycy sztuki badali pamiątki historyczne prastarej katedry, lubowali się myślą zamierzonej odnowy tego panteonu narodowego. Upragniona chwila nadeszła, ale kardynał Puzyna, usunawszy historyków, despotycznie katedrę odnowił.

Zamek królewski i reszta terenu zajęte przez wojskowość austriacką mało były dostępne. Aliści nadszedł moment, gdy konstytucyjny monarcha, ojciec ludów austriackich, cesarz Franciszek Józef podpisał dekret oddający Wawel krajowi. Rozpoczęły się prace nad odnową zamku. Wraz z architektem wkroczył na Wawel historyk sztuki oraz archeolog. Jednak wszystko niweczy u nas intryga i prywata. Oto historyk sztuki, zamiast zamknąć się pożytecznie w granicach swej specjalności, postanowił wyprzeć archeologa. I zdarzyło się, iż pierwsze próby kópania, jakie sięgnęły pod ziemię, poprowadzono skrycie przed archeologiem. Historyk sztuki spodziewał się na Wawelu rzeczy dziwnych, a na nadzieje te archeolog tylko kiwaniem głowy odpowiadał.

Owe wywiadowcze kopania dały rezultat ciekawy. Oto przekonali, iż architekci włoscy, zamierzając budować renesansową rezydencję dla Zygmunta I, musieli teren wyrównać, a czyniąc to zasypali jakiś prastary budynek sklepiony, który w głębi 12 metrów odkryto a w którym znaleziono pieniążek srebrny króla Wacława oraz skorupy z potłuczonych naczyń glinianych. Archeolog, zobaczywszy owe skorupy i pokrywający je ornament, ironicznie spojrział w stronę historyka sztuki. Skorupy były grodziskowe. Skorupy te, złożone w jednej z komnat królewskich, po jakimś czasie tajemniczo zniknęły. Zniknięcie ich wiązano z usunięciem pewnej osobistości podrzędnej, zajętej w technicznym oddziale budownictwa rekonstrukcyjnego. Jakoś tak się wydarzyło, iż zniechęcony archeolog na Wawel przestał przychodzić. Architekci działali. Historyk sztuki umarł.

I oto potrzeba trafu, że piszący te słowa 13 sierpnia 1911 r. po południu zaszedł na Wawel i na dziedzińcu mustry zauważył, iż wkopano słupy do mającego powstać parkanu

okalającego kamieniarzy, obrabiających kamienne części architektoniczne zamku.

Rozpatrzywszy ziemię wyrzuconą z pod słupów parkanu, zauważyłem odłamy ceramiki wybitnie grodziskowe. Znalazły się fragmenty pięknie zdobione ornamentem falistym, typowym dla naszych grodzisk słowiańskich.¹⁾

Natychmiast zaalarmowałem profesora archeologii przedhistorycznej dr. Włodzimierza Demetrykiewicza, udaliśmy się do dyrektora Zygmunta Hendla, prowadzącego restaurację Wawelu, i uzyskali pozwolenie na rewidowanie ziemi we wszystkich czynić się mogących wykopach.

Odtąd niemal codziennie zachodziłem na Wawel. Skorup grodziskowych znajdowałem wiele. Okazało się, iż austriacy przy niwelowaniu terenu samego wzgórza Wawelskiego, wszelkie nierówności wypełniali ziemią zebraną na wyniosłościach tego samego wzgórza. W ziemi tej okazało się sporo typowego materiału grodziskowego. Nawet dojazdy do fortecy sypano w takiż sam sposób, to też każda ulewa wymywa z tych dojazdów typowe grodziskowe skorupy.

Mamy więc na Wawelu w tak zwanej warze archeologii przedhistorycznej warstwie kulturalnej materiał dowodowy epoki grodziskowej. Jeżeli kto z czytelników moich zna popularyzacyjną moją książeczkę „Słowianie doby przed i wczesnohistorycznej” (Arct, 1911 r.), ten wie, że epoka grodziskowa jest typową dla osadnictwa słowian na ziemiach dawnej Polski oraz Słowiańszczyzny.

Epoka to najbliższa zaraniu naszej historii. W grotach Ojcowa Jan Stanisław Czarnowski znalazł niezbite dowody (zobacz zbiory Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Dział wykopalisk) zamieszkiwania tych grot w epoce grodziskowej i wczesno-historycznej. Że tradycje tego zamieszkiwania długo trwały w Ojcowie, dowodem ukrywanie się króla Łokietka w tychże jaskiniach. Jeszcze w 1863 r. oddzia-

¹⁾ Złożone w dziale wykopalisk Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie.



ly powstańców Kurowskiego mieszkały częściowo w jaskiniach, jak to wiemy z opowiadań uczestników.

Otóż na Wawelu był w epokach przedhistorycznych lub wczesno-historycznych gród, grodzisko. Mieszkańcy używali tam naczyń typu epoki grodziskowej.

Na grodzisku tem wznosiły się 2 kopce. Jednego ślad pozostał (na mapach wojskowości austriackiej oznaczony wyraźnie) od strony dojazdu na Wawel między basztą „Złodziejską” a szpitalem:—podniesienie się gruntu na 1, 5 do 2 metrów. Drugi odszukać będzie można dopiero przy poszukiwaniach, pod powierzchnią terenu przeprowadzić się mających. Ten drugi kopiec, jak stwierdził Wojciechowski, miał tradycję, iż na nim stało drzewo, a pod drzewem siadał król i „wymierzał sprawiedliwość”, t. j. sądził.

Będzie to doprawdy pouczający widok, gdy

za lat parę wszelkie ukryte zabytki grodziska na Wawelu, utrwalone na terenie lub w witrynach muzeum odnowy Wawelu zawarte, pokażą polakowi, jakie na tej świętej dla nas ziemi, prasłowiańskiej, zachodziły ewolucyjne kulturalne zmiany. Jak wyglądały w epoce przedhistorycznej, jak we wczesno-historycznej, jak w średniowieczu — renesansie aż do chwili, gdy granaty Suworowa na ten zamek piastowski padać poczęły. Z tych wałów, pełnych fragmentów ceramiki słowiańskiej grodziskowej, w 1848 r. sypnęły się znów na Kraków austriackie granaty.

Ileż burz i pogromów przeciągnęło nad tym krajem i tym wzgórzem!... gdzie — jak mówi J. I. Kraszewski —

nad grobami kwitnąpioluny...

A niebo twarz błękitną w szare kryje całuny!...

Maryan Wawrzeński.



ZBIORY POLSKIE

III. Biblioteka Jagiellońska w Krakowie.



GMACH BIBL. JAGIELLOŃSKIEJ

fol. St. Warcholik.

Przy ulicy św. Anny w Krakowie, kilka kroków od Rynku, wznosi się jeden z najpiękniejszych zabytków budownictwa świeckiego w Polsce. Wspaniałe gmach w stylu późnego gotyku z prześlicznym dziedzińcem arkadowym, zwany potocznie Biblioteką Jagiellońską, zawiera w sobie nie mniej cenny zbytek przeszłości — Bibliotekę Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z największych i najcenniejszych zbiorów w Polsce.

Dzieje tej księżnicy są ściśle związane z losami Uniwersytetu Jagiellońskiego. Powstała ona wraz z nim, wraz z nim przechodziła okresy świetności i upadku, wraz z nim zajmuje teraz przodujące stanowisko w kulturalnym i uczonej świecie polskim. Średniowieczne uniwersytety nie znały bibliotek w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, wspólnych dla całej szkoły. Przedewszystkiem były to zbiory bardzo szczupłe, ponieważ rękopisy, z których się składały, były bardzo kosztowne. Tak też i na uniwersytecie krakowskim każdy z wydziałów posiadał stosunkowo drobny zbiór rękopisów, który rósł z czasem coraz bardziej, głównie wskutek ofiarności profesorów. W drugiej połowie XV w., po wynalezieniu sztuki drukarskiej, zaczynają się te zbiory rozszerzać, co się łączy



z okresem najświetniejszego rozwoju uniwersytetu, przypadającego na drugą połowę XV w. i początek XVI. Cały szereg znakomitych uczonych wykładają na jego katedrach, liczni uczniowie ściągają do Krakowa nie tylko z Polski, Litwy i Rusi, lecz także przybywa wielu cudzoziemców, zwabionych sławą nowej uczelni. Ten okres kilkudziesięciu lat kładzie podwaliny dzisiejszej świetności Biblioteki Jagiellońskiej. Silnie rozbudzony ruch umysłowy w Polsce i idąca z nim w parze potrzeba i chęć

zaznajamiania się z nowościami, ukazującymi się zagranicą, sprawiły, że dzisiaj możemy się chlubić tak znaczną liczbą cennych rękopisów i inkunabułów (druki po 1500 rok). Przyczyniły się do tego liczne podróże Polaków za granicę, z których nie powracało się bez nowonabytych dzieł, bardzo ożywione stosunki Polski z Niemcami, Francją, a szczególnie z Włochami, a w końcu nie w najmniejszej mierze szczodrobliwość profesorów, którzy nie szczędzili trudów, zabiegów i kosztów, byle tylko zebrać największą ilość dzieł, prawie zawsze zapisywanych testamentem Uniwersytetu.

Wkrótce wzrosły te zbiory tak znacznie, że okazała się potrzeba jakiegoś lepszego ich pomieszczenia. I oto w 1517 r. zapisuje profesor Tomasz Obiedziński pierwszy fundusz na budowę, przeznaczoną tylko na bibliotekę. Niedługo potem powstaje ta część dzisiejszej biblioteki, która dotychczas na pamiątkę ofiarodawcy nosi nazwę sali Obiedzińskiego. Był to jednak ostatni czyn przed rozpoczynającym się upadkiem tak uniwersytetu jak i jego biblioteki. Wiek XVI—XVIII to długi przeciąg czasu powolnego ale stałego, coraz bardziej zwiększającego się chylenia się tej naukowej instytucji. Nie tu miejsce wchodzić w przyczy-

ny tego; w każdym razie obniżenie się poziomu uniwersytetu nie mogło pozostać bez wpływu na tak ściśle z nim związaną bibliotekę. Płyną wprawdzie ciągle liczne dary i zapisy, ale nie ma w tym już tej obfitości, jaką odznaczał się XV w.; rosnące zbiory nie dotrzymują w postępie kroku zagranicznym instytucjom, a gdzie niema postępu, tam zaczyna się cofanie. Występują wprawdzie ludzie, jak znakomity matematyk Jan Brożek (kustosz 1632—1639), Marcin Radywiński (od

1661 r.), którzy starają się przynajmniej podtrzymać bibliotekę, wprowadzają pewien ład, zakładają katalogi, ale ich usiłowania niewiele mogą wobec ogólnej obojętności. Tak biblioteka główna jak i poszczególnych kolegiów i burs nie mają odpowiedniego pomieszczenia, brak dozoru sprowadza rozpraszenie się książek. Smutny ten stan trwa przez w. XVII i XVIII. Dopiero w drugiej połowie tegoż wieku większe zajęcie się książkami, spowodowane przez odradzający się podówczas w Polsce ruch naukowy i literacki, jak nie mniej przez założenie biblioteki przez braci Żalukskich, sprowadza usiłowania pewnego



SALA OBIEDZIŃSKIEGO W BIBL. JAGIELLOŃSKIEJ

fol. J. Krieglner.

rodzaju poprawy istniejących stosunków. Rezultaty jednak tej pracy, nawet reformy Kollątaja przeprowadzonej w uniwersytecie krakowskim a obejmującej i bibliotekę, są bardzo małe. Połączono podówczas zbiory kolegiów i burs, dodano do tego bibliotekę jezuitów po kasacji tego zakonu, na pomieszczenie jednak wszystkiego brakło miejsca, na uporządkowanie funduszy i ludzi. Następują smutne czasy dla Rzeczypospolitej; sprawy polityczne pierwszorzędnej wagi nie pozwalają na zajmowanie się naukami i książkami. Wreszcie dostaje się Kraków w ręce austriackie, których słabe usiłowania uporządkowania uniwersytetu i jego bi-



blioteki zostają przerwane przez przyłączenie Krakowa do księstwa warszawskiego.

Dopiero teraz rozpoczyna się lepsza era dla Biblioteki. Na kierownika jej zostaje powołany w 1811 r. Jerzy Samuel Bandkie. Niezwykle wszechstronnie wykształcony, zmiłowany bibliograf i bibliofil o żelaznej pracowitości, zabrał się z całym zapalem do porządkowania oddanych jego opiece skarbów. Zastał je w strasznym stanie, w nępot wałącym się budynku, z powodu braku szaf zwalone stosami na ziemi bez jakichkolwiek inwentarzy i katalogów, i trzeba było długich lat, ażeby w tem wszystkim wprowadzić pewien ład. Od jego czasów jednak nie pozostała Biblioteka już nigdy w tak zupełnym zaniedbaniu, w jakim się pierwiej znajdowała. Po Bandkiem objął stanowisko bibliotekarza i profesora bibliografii Józef Muczkowski, znakomity znawca rękopisów. Po włączeniu Krakowa do Austrii w 1846 r., w czasach reakcyi i zapędów germanizacyjnych, przysły dla uniwersytetu smutne czasy, w bibliotece jednak nie dawały się one tak odczuwać. Gorszem było natomiast, że w 1838 r. zabrano się do przebudowania Collegium maius, gdzie się biblioteka mieściła. Przebudowa trwała z przerwami po 1880 r., a ponieważ nie było gdzie książek usunąć, trzeba więc było opróżnić salę za salą, a książki tymczasowo składać w innych salach. Naturalnie postępowanie takie nie mogło przyczynić się do polepszenia stanu biblioteki, który mimo wszelkich usiłowań Bandkiego i Muczkowskiego pozostawiał jeszcze wiele do życzenia. W obec tego jednak, że po przebudowie całe pierwsze piętro miało być przeznaczony na bibliotekę, trzeba było te niewygody znosić do czasu.

W 1867 r. obejmuje posadę dyrektora biblioteki Karol Estreicher, i jakkolwiek i za niego trwał jeszcze przez długie lata stan przejściowy, to jednak doprowadza on Bibliotekę Jagiellońską do niebywałej świetności. Przez czterdzieści lat pracuje Estreicher niezmiernie nad powiększeniem zbiorów i nie zaniedbuje niczego, co mogło przyczynić się do podniesienia jego umiłowanej instytucyi. Znakomity bibliograf polski stawia sobie za cel życia zgromadzić jak największą ilość druków polskich. Praca ta wydaje



SALA OBIEDZIAŃSKIEGO W BIBL. JAGIELLOŃSKIEGO

fol. J. Krieger.

znakomite owoce; ilość dzieł zgromadzonych w Bibliotece Jagiellońskiej potraja się, rozmaici zbieracze ofiarowują jej swoje cenne zbiory, i tak ta biblioteka oddawna niezmiernie bogata w niezwykle cenne druki, staje się teraz skarbnicą materiałów dla dziejów polskiej historii i literatury. Ogromny gmach Collegium maius, który po wybudowaniu nowego gmachu uniwersyteckiego w całości przeznaczony na bibliotekę, okazuje się za mały i pod koniec swego kierownictwa przygotowuje Estreicher powiększenie miejsca przeznaczony na księżnicę przez przyłączenie sąsiadującego gmachu po dawnym gimnazjum św. Anny t. zw. collegium Nowodworskiego. Gromadząc ogromne zbiory, nie miał Estreicher ani czasu ani środków, by mógł je należycie, według wszelkich wymagań dzisiejszej tak wysoko stojącej wiedzy bibliotekarskiej, uporządkować. Wprawdzie potrafił on zjednać do tej pracy cały szereg osób, przedewszystkiem wśród profesorów Uniwersytetu, wprawdzie pracował przy jego boku zastęp ludzi nadzwyczaj światłych, z których szczególnie za-

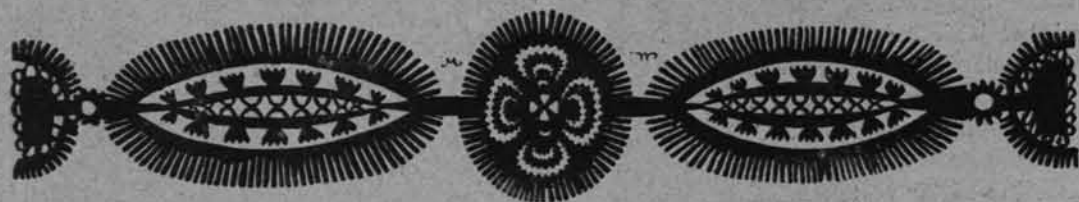


służył się kustosz Władysław Wisłocki około uporządkowania i skatalogowania niezmiernie cennych zbiorów rękopisów i inkunabułów, ale zupełnego uporządkowania biblioteki nie mógł on dokonać. Zadanie to przekazał swemu następcy d-rowsi Fryderykowi Papée'mu (od 1905 r.). Założenie inwentarza wszystkich zbiorów, dokładne ich skatalogowanie i odpowiednie pomieszczenie, jak również dokonane już urządzenie czytelni i biur w dawnym gmachu gimnazjum św. Anny: oto program pracy, jaki nakreślił sobie nowy dyrektor. Jak olbrzymią jest ta praca, można już z tego wnosić, że samo zinwentaryzowanie i poprawa

katalogów tylko druków obliczone są na mniej więcej 15 lat. Prócz tego zaś znajdują się w bibliotece ogromne zbiory rękopisów, inkunabułów, cimeliów (najkosztowniejsze druki, głównie polskie z XVI w.) sztychów, map, nut muzycznych, których opracowanie postępuje równocześnie, w powolnym wprawdzie tempie z powodu niezmiernych trudności, jakie ta praca nasuwa, jak nie mniej z powodu szczupłej ilości urzędników. Pracą tą kieruje znakomity znawca tych specjalnych dzieł, kustosz dr. Józef Korzeniowski.

D. N.

ek.



DWORY, ZAMKI I PAŁACE

JANOWIEC.

Tylko chwile wzniosłych porywów uczucia i myśli mają wartość, zarówno w życiu jednostki, jak w dziejowym pochodzie ludzkości. Każde dzieło człowieka, wykonane pod natchnieniem chwili takiej, nosi na sobie niezatarte jej piętno. Bo są w historii świata czasy, dające się ochrzcić mianem „filistrów”, i to zupełnie z taką sprawiedliwością, z jaką się ową nazwę nadaje ludziom, co raz stanęli na pewnym poziomie moralnym, a potem już tylko oklepywali swe pospolite myśli, nałogowali drobnostkowe uczucia i żyli w miernocie powszedniego dobrobytu, dopóki ich śmierć nie zglądziła.

Tego w żaden sposób nie można powiedzieć o wieku, w którym powstał zamek w Janowcu — „Janovecium”. Ruina przedstawia się dzisiaj jak lachman, ale lachman ze wspaniałej, złotem tkanej szaty. Wypłowiło złoto, łąt, dziur pełno, a i tak jest ona jeszcze cenna. Toć budowa zamku janowieckiego jest prawie współczesna ukazaniu się nieśmiertelnej pracy Kopernika, arcydzieł Kochanowskiego, świetnej prozy Rej'a, znakomitego „Dworzani-na” Górnickiego, „De republica emendanda” Frycza Modrzewskiego i innych dzieł znakomitych. Cóż za dziwo, że i na ruinach zamku dają się odczytywać złote litery smaku z epoki odrodzenia sztuk, nauk i czasów reformacji?

Aby się dostać z Kazimierza na przeciwległy janowiecki zamek, poszedłem pieszo do dalszego

Męcierz, gdzie wsiadłem w rybackie czółno, a wiślana woda prawie sama zaniósła mnie na piaszczyste wybrzeże, naprzeciw którego bardzo już wyraźnie widniała okazała ruina. Te wzgórza powiślańskie, jeżeli ich lasy zielonym płaszczem nie okrywają, wszystkie mają białe łysiny: zlasowane, zwierzale wierzchnie warstwy wapienia sypią się tu prochem z góry ku dołowi, znacząc kredowe szlaki. Podstawę zamku na Janowcu stanowi taka właśnie góra.

Małowniczność ruiny ocenia się głównie z odalenia; na miejscu widać tylko upadek, tem żałośniejszy, im wspanialszy gmach był tutaj. Już zdaleka łatwo ocenić, że zamek janowiecki był znacznie większy niż kazimierski, i że musi być od kazimierskiego młodszy o parę wieków. Założyciel jego (r. 1557), Piotr Firlej, był to pan wielki, miłośnik sztuk i nauk, człowiek wykwińskiego smaku. Lgnęli Firleje do „nowej wiarki”, więc katolicki kościół w Janowcu zamieniono na zbór kalwiński.

Ale ród ten wygasł i zamek janowiecki przeszedł w posiadanie wiernych swemu kościołowi Tarłów, rodu, który podobnie, jak Firleje, wydawał z siebie senatorów i zwiększał zastępy możnowładztwa. Tacy potrzebowali zamków, i zamkom tylko takich potrzeba było, ażeby się utrzymać mogły w swym stylu zamczystym. Z Tarłów przechodzi Janowiec na Lubomirskich, owe „królewicza”, co na wsze sposoby gromadzili fortuny, pomnażali godności, z królem toczyli wojnę i na



ZAMEK W JANOWCU

fol. L. Ostaszewski

tronie zasiąść chcieli. Tutaj to Jerzy Lubomirski miał swoją siedzibę, a zamek w rękach tej rodziny przybrał postać godną swych synów: jaśniał okazałym przepychem, groził warownością.

Atoli i nań spadł piorun szwedzkiego pogromu. Waleczna lecz szczupła garstka obrońców zginęła w nierównym boju, poszła w niewolę szwedzką, a z pięknego zamku zostały zgłiszczą pozogi, kupy gruzów (1656 r.). Z tego upadku po raz ostatni dźwignął ruinę Marcin Lubomirski, który jednak strwonił całą wielkopańską fortunę na wesołe, pełne przygód życie i dobra Janowiec przepuścił wraz z zamkiem. (1785) Odtąd „Janovecium” krok za krokiem zbliża się ciągle do tego stanu, w jakim dziś pozostaje.

Monarsze odwiedziny niejednokrotnie zaszczycały Janowiec, a Zebrzydowski dopełnił tu ceremonii przeprosin i odwołał rokosz, aby go niebawem wznowić i pod Guzowem zakończyć stanowiącą klęską.

Od strony Wisły widać dwie baszty, wysuniętą naprzód część środkową, ściany dwoma rzędami okien zaopatrzone. Wchodzi się do zamku przez piękną łukowatą bramę, z dobrze zachowanym sklepieniem. Po za bramą idzie się z jednego dziedzińca na drugi, a po prawej i lewej ręce leży jakby zwalone miasto.

Na gruzach dziewięćdziesięciu ośmiu komnat i siedmiu sal zamkowych rosną głogi i jarzębina; pokrywa, bylica, oset pokryły dziedzińce.

Znać z tego, co pozostało, że komnaty były bogate, ozdobne, choć z posadzek wydzierano marmury. Na zachowanym kawałku muru jeszcze tu i owdzie widać malowidło, gzems, futro okna, sztukaterie. Rzecz prosta, nie brakuje tutaj lochów daleko sięgających, a w nich — podług podania — przechowują się niezmierne skarby. Wśród ciszy zwaliska wydaje się, że ruina zamkowa przemawia: „Sic transit gloria mundi”.

Adolf Dygasiński.





GIE



fol. O. Sosnowski.

Na szlaku jednej z najpiękniejszych wycieczek (Ogrodzieniec, Pilica, Smoleń), przy trakcie z Kromolowa do Pilicy, w odległości 3-ch wiorst od tego miasteczka, — leży malowniczo położona wśród otaczających ją dolin wieś *Gieble*, gdzie na terenie, nawet względem wsi wyniosłym, wieńcem drzew otulony, prastary stoi kościółek.

Błędnie podają wiadomości o jego pochodzeniu z roku 1314, opierające się na akcie

rzekomej erekcji przez Bartosza Ligęzę, przechowywanym ze czcią w aktach miejscowych, gdyż dokument ten jest oczywiście fałszyfikatem, jakie często zwłaszcza w XVIII w. spotykać się dają w procesach majątkowych.

Kościółek w Gieble jest *romański*, a więc znacznie starszy (pochodzi zapewne z XII wieku). Już gładkie zupełnie jego ściany wzniesione bardzo starannie z pięknie obróbianego ciosu (jura krakowska), z małymi wyjątkami spoinami, świadczą o niepowszedności budowy i są świadectwem nieomylnym niemożliwym stylu.

Wnętrze kościoła stanowi jedna niewielka nawa, w planie zbliżona do kwadratu, która łączy się półkolistą sklepioną arkadą z węższym, również kwadratowym prezbiterium, zwróconem ku wschodowi. Silnie postawiona ulica zachodniego wieża z tak zwaną *emporą* na piętrze, t. j. lożą dla kolatora (kościółek służył pierwotnie jako kaplica grodowa), z oknami maleńkimi na znacznej wysokości, — była warowną skutkiem braku dostępu (tylko bowiem po drabinie przystawionej z kościoła dostać się można było do jej wnętrza). Drzwi zewnętrznych tu nie było, a te, które widzimy, wybito w czasie późniejszych przybudówek zakrystyi i babińca (kruchty). Babińiec od południa za-

chodniego wieża z tak zwaną *emporą* na piętrze, t. j. lożą dla kolatora (kościółek służył pierwotnie jako kaplica grodowa), z oknami maleńkimi na znacznej wysokości, — była warowną skutkiem braku dostępu (tylko bowiem po drabinie przystawionej z kościoła dostać się można było do jej wnętrza). Drzwi zewnętrznych tu nie było, a te, które widzimy, wybito w czasie późniejszych przybudówek zakrystyi i babińca (kruchty). Babińiec od południa za-



B Ł O

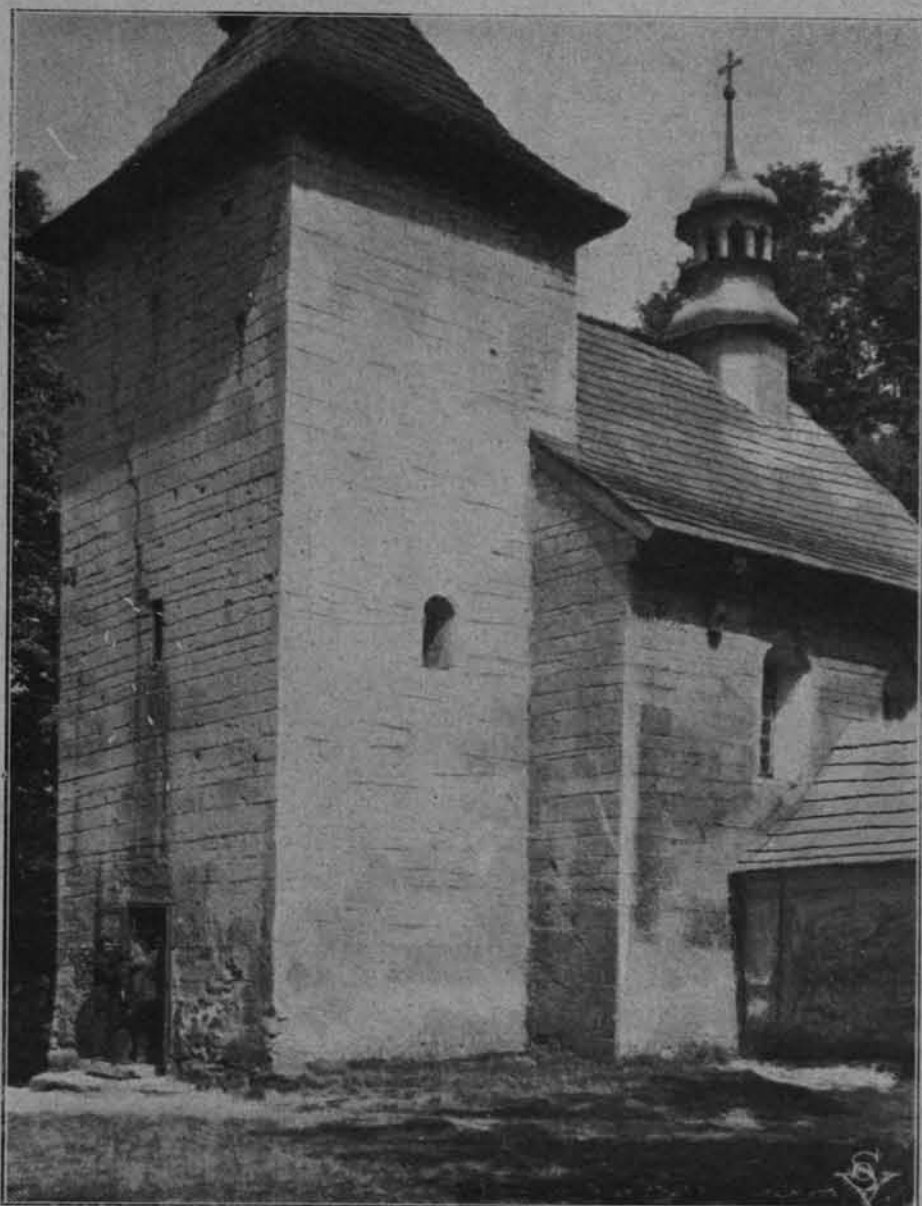
krywa jedyne stare romańskie do kościoła wejście, zdobne portalem prostym, pełnolucznym.

Okna w nawie znajdują się tylko od strony południowej; są one poszerzone. Było jedno okienko pierwotne w ścianie bocznej od północy, ale dawno już kiedyś zamurowano je starannie ciosem. Prezbiterium przykrywa sklepienie beczkowe, nawę zaś prosty pulap, którego belki, wysunięte na zewnątrz pod dachem i podtrzymane drewnianymi wspornikami, tworzą malowniczy, charakterystyczny okap, nadający budynkowi, łącznie z gontowymi dachami i sygnaturką barokową, wybitną cechę swojskości.

Całość pełna prostoty, prześlizna w sylwecie, — niezatarte w pamięci widza pozostawić musiała wrażenie.

To też czar piękna, bijący z tych sędziwych murów, i wielką wartość archeologiczną zabytku, godnego jak najtroskliwszej opieki, ocenił należycie zasłużony nasz badacz Maryan Wawrzeniecki, gdy przesyłając w roku 1903 dokładny opis kościoła w Gieble wraz z rysunkami dla Akademii Umiejętności w Krakowie, pisał już wtedy:

„Podobno proboszcz I. M. ks. Juliusz Kozłowski nosi się z myślą rozszerzenia kościoła, a to przez zburzenie wieży i przedłużenie nawy ku zachodowi. Oby myśl ta, niszcząca najważ-



fot. O. Sosnowski.

niejszą część budowy (wieża i empór), mogła być zaniechaną“¹⁾

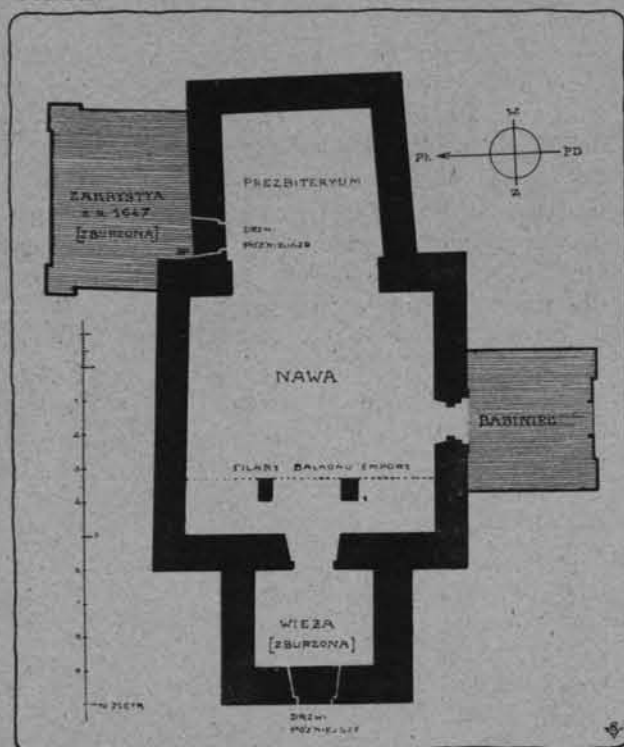
Niestety—serdeczny głos ten nie znalazł odzewu.

Nurtująca myśl niszczyielska doprowadziła niedawno do zburzenia przytulonej od północy do boku prezbiterium zakrystyi, pochodzącej z r.

¹⁾ Sprawozdania Komisji do badania historii Sztuki w Polsce t. VIII.



GIEBŁO. KOŚCIOŁEK ROMANSKI = XII WIEKU. PLAN



PLA ZASADZIE POKAZANO DOMINANTNE WRAZ Z WIAŁY Ł. WOLSKIM W R. 1905 WYDANIE
O. SOBOLSKI - 2175 - 1911 R.

1647,—co uczyniono bez żadnej widocznej potrzeby, zastępując starą rzekomo wilgotną ubikacją nową, również wilgotną, ale i szpetną zarazem dobudówką ceglana od tyłu, która zasłoniła piękną ścianę wschodnią z typowym małym okienkiem romańskim.

Tego zaś lata, pomimo interwencji Towarzystwa Opieki nad zabytkami przeszłości w Warszawie oraz Władz Konsystorskich w Kielcach (gdyż powiększenie można było uskutecznić w inny sposób), przystąpiono do zburzenia przedniej części kościoła—i padły pod żelaznymi drągami przepyszne ciosowe bloki wieży!

Fakt to nieodosobniony — więc tem smutniejszy. Z przerażającą szybkością giną z roku na rok świadki odwiecznej kultury naszej.

W rozpacznej zatem niemocy wyrывa się myśl udręczona ku tym odległym zda się jeszcze dla nas czasom, kiedy zbudzi się w narodzie świadomość wartości wyzbywanych się dobrowolnie skarbów — często wprost bez ceny, jak ten kościółek w Giebło,—a kiedy nie trzeba będzie w smutnym obowiązku kronikarskim cziście wspomnieniem tego, co jako przejaw nieśmiertelnego piękna żyć powinno było na wieki.

Jarosław Wojciechowski.

Z GALERYI TYPÓW I ORYGINAŁÓW LITEWSKICH.

Mickiewicz na zaścianku.

Jednocześnie ze skasowaniem w czwartym dziesiątku w. ub. na Litwie klasztorów znikły z widowni i charakterystyczne postacie kwestarzów, a że z tego powodu w epoce niesłychanie utrudnionej komunikacji markotno było ludziom po dworach i dworkach, niema się znów tak bardzo czemu dziwić, bo taki ks. kwestarz zazwyczaj bywał żywą, przepelnioną z całej gubernii najświeższymi nowinami gazetą, a przytem ożywiał dom cały nieprzebranymi conceptami i wogóle jak najmilsze z pobytu swego zostawiał wspomnienie. Czas atoli, zmieniając na świecie wszystko, powoli luki zapelnia i szczeliny lata. Tak właśnie było i w dobrze mi znanych stronach wołkowyskich, z biegiem lat bowiem o kwestarzach pamięć coraz bardziej znikła, a to tem bardziej, że miejsca przez nich opróżnione jęli zajmować, podobnie jak oni wszystko wiedzący i nie mniej od nich dowcipni komornicy.¹⁾

¹⁾ Komornikiem lub mierniczym, zwą na Litwie cudzoziemską w Królestwie mianowanego geometrę.

Słynął tu w pierwszej połowie w. ub. z doświadczenia życiowego i facecyi komornik świstocki, p. Antoni Zubellewicz¹⁾, a za mej już pamięci niewyczerpanym był w conceptach p. Stanisław Ciołek-Poniatowski, ale obu ich humorem swym i dowcipem o niebo całe przerósł ś. p. Józef Rymwid-Mickiewicz, rodem z Krzesel, wsi szlacheckiej pod Żelwą. Zanim jednak uwieczniony tutaj nieprzebranego w fortelach, zawsze i wszędzie się chępiącego ze stryjecznego braterstwa z nieśmiertelnym Adamem naszym, pana komornika, wpierw, czyniąc zadość logice, musimy się jeszcze na chwilę zatrzymać, aby choć cośkolwiek powiedzieć o wsi samej, zaściankach i o braci szlachcie.

Otóż, Krzesła leżą o dobrą milę od słynnej z ostatnich lat Żelwy²⁾, tuż przy samym gościńcu

¹⁾ Z rodziny tej mieliśmy prof. Uniw. Warsz. czł. Tow. Przyj. Nauk, i syna jego prof. szkół średnich oraz autora wielu prac matematycznych.

²⁾ Nomen est omen, żelawa bowiem po litewsku znaczy żaloba.



wiodącym do Wołkowyska, a należą z dawien dawna do parafii międzyrzeckiej, przez szlachtę drobną licznie zasiedlonej.

Wieś jest jedną z pomniejszych, liczy bowiem wszystkiego dwanaście zaścianków. Wygląd Krzesel taki sam, jak innych okolic¹⁾, więc domy i budynki gospodarskie porozrzucane bez symetrii, ladu ani składu: ten patrzy do lasa, ów do sasa, słowem najrzetelniejszy obraz złotej swobody, oraz najlepsza ilustracja indywidualności szlacheckiej. Mieszkańcy tej wsi trudnią się rolnictwem, grunty są dość urodzajne, więc im nędza nie zagląda w oczy. Zresztą członkowie rodzin nazbyt rozrośniętych zajmują w pobliskich i dalszych dworach posiadania (miejscowości²⁾, strażników³⁾ i ekonomów. Nie zawadzi tu jeszcze dodać, że, wyznając religię rzymsko-katolicką, są nabożni, więcej okrziesani i nierównie moralniejsi, zapobiegliwsi i pracowitsi od mieszczan, a przytem nie mają w sobie owej przesady ani buty, które stanowią nieodłączną cechę panów-braci z za Narwi. Wady ich kardynalne stanowią: zabobonność, chciwość, zazdrość, ambicja i nieufność, a obok tego kłótniwość i pieniactwo. „Brat na brata — często tutaj — gorszy bywa kata...” Zresztą nic w tem dziwnego, wszak spory i kłótnie sąsiedzkie z dawien dawna były w Polsce na porządku dziennym i wskutek tego stały się piętnem kastowem, dowodzącem szlacheństwa, o czem najlepiej zaświadczyć może okoliczność, że po zaborze kraju znaczna większość rodzin szlacheckich wylegitymowała się na podstawie... pozwów, wyroków i t. p. papierów sądowych. Dla zaokrąglenia tej charakterystyki, wypada jeszcze nadmienić, że ozdoba zaściankowej Litwy — pleć piękna, słynąc z pracy niez mordowanej w domu, polu, ogrodzie i tkactwie, w znacznej mierze przynosi dobrobyt i utrzymanie rodzinie. Nie zapominajmy, że prostota domowego obyczaju nad Niemnem trwała co najmniej o pół wieku dłużej, niż nad Wisłą. Niemalże wszak jeszcze żyje ludzi, pamiętających, jak zamężne obywatelki litewskie z upodobaniem wielkiem zasiadały co wieczór z całym swym fraucymerem do kołowrotek⁴⁾, cóż więc nadzwyczajnego, że drobne szlachcianki, dotąd celując w tkactwie, od stóp do głów w samodziwały przez siebie wykonane ubierają swych mężów i dzieci.

¹⁾ Okolica, prowincjonalizm miejscowy, znaczy wieś szlachecka.

²⁾ Zn. karbowy, połowy, gumieny.

³⁾ Zn. gajowy, leśnik.

⁴⁾ Zniesienie pańszczyzny, a przedewszystkiem ułatwienie komunikacji przez przeprowadzenie kolei Warsz.-Petersb., wyrugowały z większych dworów, wychowankami których były zagrodowiarki, wiele prastarych zajęć i zwyczajów.

Na śmierć już zapomniałem nazwisk, przydomków i klejnotów braci—posesyonatów, którzy na swych fortunach w Krzeslach ongi siedzieli. Pamiętam tylko Łaskiewiczza, Juszkiewiczów i wreszcie dziedzica na półwłoczkę, pana Józefa Rymwida—Mickiewiczza, patriarchy jedynego rodu Mickiewiczów zaściankowych w grodzieńskim. Protoplasta tej rodziny, według pana Józefa, pochodzić miał z ziemi lidzkiej, którą opuściwszy w pierwszych latach w. XVIII, osiedlił się w województwie nowogrodzkiem. Pan komornik, jak to już nadmieniłem, zawsze twierdził, że ś. p. ojciec jego, (zdaje się pełnił urząd kasyera w podskarbstwie wołkowyskiem po zaborze kraju) był stryjecznym bratem ojca wieszczza, pana Mikołaja. Należy jednak pamiętać, że pan komornik był zawołanym myśliwym, a że prawdziwość tych ostatnich przez wielu jest mocno kwestyonowana, przeto relata refero, a istotne wyśledzenie stanu rzeczy pozostawiając genealogom, to tylko zaznaczam, że w myśl tego prawdziwego czy urojonego pokrewieństwa genialny twórca „Pana Tadeusza” nie inaczej był zwany przez młode latorośle pana komornika jak dziadźkiem, co odpowiada nietylko wujowi naszemu ale i stryjkowi. A że ów dziadźko był, że się tak wyrażę, kodeksem etycznym i duchem opiekuńczym tego zaścianku, wyjdzie to już z samego toku naszego opowiadania, autentyczność którego autor solennie stwierdza własnym swym podpisem.

Osobliwszy to był człowiek ten krześlański komornik! Gdym po raz pierwszy miał go sposobność, poznać a było to mniej więcej w r. 1888, dźwigał on już na swym grzbiecie osiem pełnych krzyżów, a mimo zgrzybiałego wieku, był jeszcze tak czerstwy, ruchliwy i pełen energii, że mu niejeden młokos mógłby pozazdrościć. Spotykałem krotochwilnego staruszka zwykle w słynnem z r. 1863 Ustroniu¹⁾ pod puszczą różańską. Mnie znęcały skarby twórczości ludowej, jego łosie, dziki, lisy i t. p. dość tam łatwe trofea Nemroda.

Dwór ten, położony wśród głuchego boru i trzęsawisk a zdala od arteryi komunikacyjnych, był może i jest dotąd cichy, senny, jak ów w bajce zaklęty. Z chwilą jednak, gdy się w nim zjawiał na swej kałamazsce²⁾ z nieodstepnym wyżłem nasz komornik, budził się na pe-

¹⁾ Na terenie samego dworu odbyła się bitwa z wielu okoliczności, sceneryi swej i rezultatu, żywo przypominająca mickiewiczowską z „Pana Tadeusza”.

²⁾ Mała, nieresorowa, jednokonna bryczulka, domowej zwykle roboty.



wien czas i ożywał. Już od świtu na obszer-
nym dziedzińcu ruch powstawał, było gwarno,
skomlily ogary, odzywały się rogi. W lowach,
oprócz kilku strzelców okolicznych zwykle udział
przyjmował poczciwy Janek Dzieżko¹⁾ i ś. p.
Adolf Hundius, druh nieodżałowanego Syrokomli.
Mickiewicz znalazł knieję, wagę zwierza, dzi-
wnie mu się wiodło. Zazdrośni strzelcy z po-
bliskich wiosek odzywali się o nim: „jam ū
i nā szczēpaczku pradziēcsia”. Ale bo
i oko stary miał tak celne, że ze swej roba-
czywki²⁾ o sto kroków bił słomki, bekasy; a
po tak mistrzowskim wygarnięciu zwykle
następował okrzyk: „O, łaksynku treba
strelać! Komornik bowiem w zadowoleniu za-
wsze we frazesy i przysłowia białoruskie swą mo-
wę ubierał. Natura była w nim niczem nie-
zmożona; przetrze, bywało, wszystkie knieje
okoliczne i przebrodzi błota, a wieczorem, gdy
zacznie przy stole jak z rękawa sypać urwałki
i facecye, poruszy wszystkich, że aż im się boki
ze śmiechu trzęsą. Enęrgii myśliwskiej najwięcej
staruszek zużywał na podzimku, gdy z puszczy
Różańskiej losie do Białowieży przechodzą. Prze-
stać bywało trzy, cztery dni na przesmyku,
to dla niego fraszki. Wprawdzie chodziło tu o za-
pas na rok cały jak długi. Powaliwszy bowiem
olbrzymiego samca, mięso ćwiartował, solił i su-
szył o wiośnie na słońcu, poczem części tłuste

¹⁾ Z pochodzenia chłop z nad Biebrzy, ale wię-
cej niż pewno, że przymiotów serca szlachcic niejedyn
mógłby mu zazdrościć. Uczynny niesłuchanie w rze-
czach dotyczących nauki, on, człowiek prosty, o ele-
mentarnem zaledwie wykształceniu, przez 25 lat stale,
gorliwie i najbezinteresowniej pomagał mi najsamprzód
w badaniu swych stron rodzinnych, a z biegiem czasu,
gdy z Sokólskiego przeniósł się w Wołkowyskie, (gdzie
zakupił folwark Ustron), tu niemniej, o ile mu nie czas,
ale siły pozwalały, starał się zawsze mi być w poszuki-
waniach pomocnym. Ileż to poczciwcowi temu zabrałem
nocy po najuciążliwszej nieraz pracy w polu! Ileż
Muzeum Przemysłu i Roln. zawdzięcza mu
z niemalym trudem zdobytych okazów! Zmarł na raka
w r. 1908, nie doczekawszy starości; pochowany w
Porozowie.

Obyż żywot tego zacnego prostaka był przy-
kładem dla wielu! O Ustroniu, Dzieżce i Hundiusie
pisałem w artykule p. t. „Imieniny Chodźki” w Księ-
dze Pamiątkowej ku uczczeniu Mickiewi-
cza Tom II, str. 12.

²⁾ Tak zwał swą odwieczną dwururkę z mocno
stoczonem przez robaki łozem.

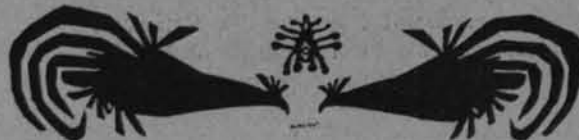
szły do garnka, a chudsze kawałki w moździerz
na proch utłuczone arcypożywny dawały posiłek
w porze robót polnych¹⁾.

Rymwid był średniego wzrostu, szczupły, twarz
miał świeżą i jędrną, głęboko osadzone oczy, mi-
mo wieku żywe, wąs białe, sumiasty. Co jak co,
ale nos o pokrewieństwie z Adamem mógł świad-
czyć najlepiej, profil czoła również przypominał
wieszczą. Lato, zima, jak wszyscy zagrodowi, no-
sił się zwykle w samodziałach, a wyruszając na
ptaństwo błotne, zwyczajem wielu tutejszych my-
śliwych, kładł łapcie na nogi. W ruchach jego i
obejściu rubasność się przebiwała a z nią i po-
waga. Wychowaniec uczelni misyonarskiej w Ły-
skowie, w której był konwikt dla ubogiej młodzi,
zachował sporo w pamięci łacińskich frazesów,
którymi przy sposobności lubił się popisywać.
Zwykłym jego przymówiskiem było panie
dziku, do młodych zawsze się odzywał: mój
synku, a do starszych, rówieśników: mój
somsiedzie, przyjacielu, bracie.
Interesował się wszystkim, najbardziej polityką,
ale cudzych wiadomości nie powtarzał, tylko z
nich samodzielne wyprowadzał wnioski. Zawsze
pełen najlepszej myśli, pocieszał innych, że „zło,
choćby niewiedzieć jak broiło, taki miesiąc
za rogi nie chwyci i utopi się w końcu w swej
własnej kałuży”. W jedzeniu i pićiu umiarkowa-
ny (gorzałki nad czarke więcej nie pił, bo: „dusza
—mawiał—Rymwidów zna miarę”), grał z upodo-
baniem w woza a i w bilard, po mistrzowsku,
gdy zajrzał do Wołkowyska; poza tem nic wię-
cej. Ambicje dwie miał pan Józef wygórowane:
pierwsza rodowa, ściśle związana z pokrewień-
stwem z największym wieszczem Litwy, druga
myśliwska, która go napełniała przekonaniem, że
był na cały powiat strzelcem najlepszym. „Mic-
kiewicz—odezwał się niegdyś do mnie—nie poluje
z takimi co pilnuj! wołają. Trup co strzał,
to rozumiem! Inaczej w pasy laje błaznów²⁾
i rzucam połówkę. Tfu!” Uczucia wszelkie za-
wsze głośnym okrzykiem objawiał.

M. Federowski.

¹⁾ W taki sam sposób odżywiają się wczasie
kosowicy i zuiwa i niektórzy pod puszcza Różańską
włoszanie. Chleb posypany suszoną łosiną uważany
jest przez nich za specjał jedyny.

²⁾ Błazen w mowie polskiej na Litwie, znaczy:
młokos, niedorostek, gołowas.





Ze skarbów naszej przyrody

SOSNA.

Najpospolitsze w kraju naszym drzewo to najżywszy przyjmuje udział w tworzeniu typowych naszych krajobrazów. Niewybredna pod względem gruntu i wytrzymała na wszelkie przeciwności klimatyczne, opanowała ona u nas niegdyś olbrzymie obszary, wypierając skutecznie wszelkie inne rośliny drzewne, z wyjątkiem miejsc bardziej nisko położonych i przez to wilgotniejszych, ustępując je świerkom, olszynie, brzezynie i in.

Pod jednym tylko względem jest może bardziej

od innych naszych drzew leśnych wymagająca — mianowicie pod względem światła.

Stosownie do zajmowanego miejsca w zbiorowiskach roślinnych i zależnie od wpływu gleby i czynników klimatycznych, przybiera najrozmaitsze postacie.

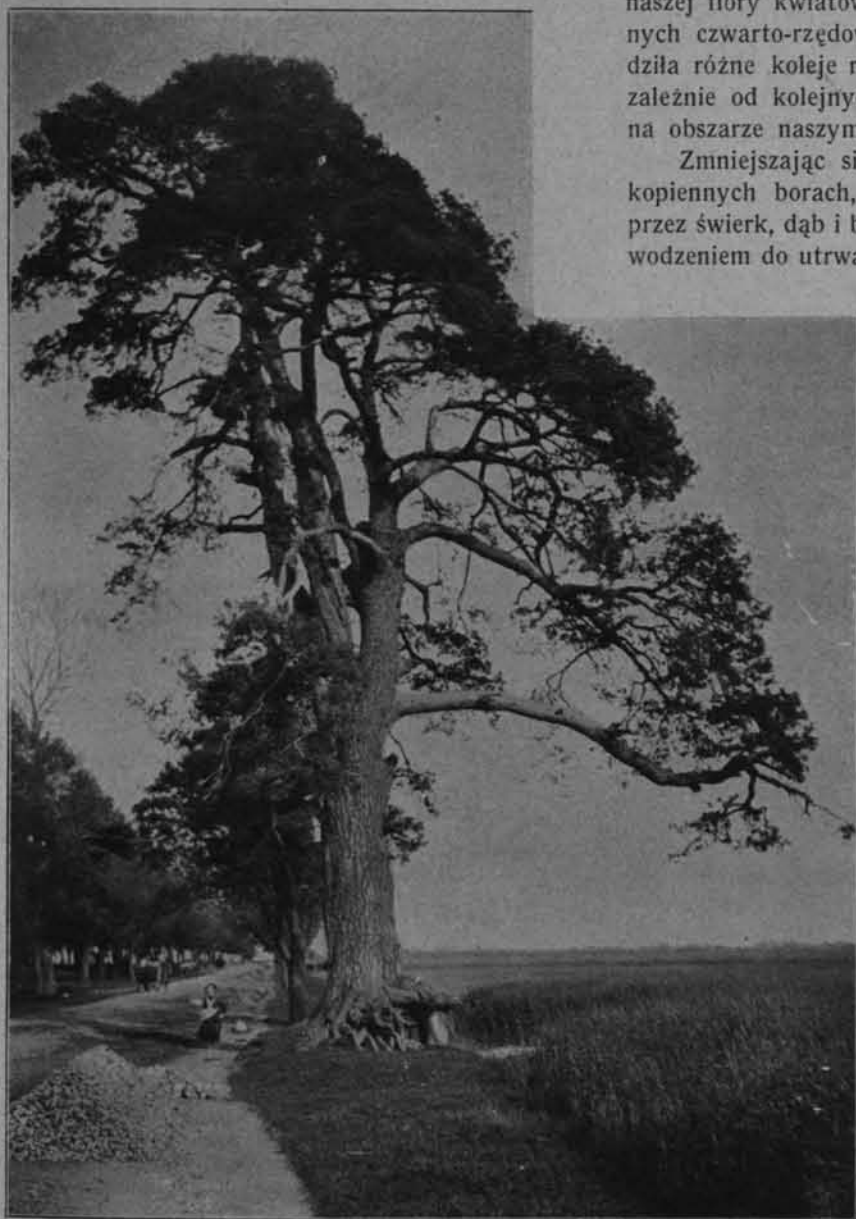
Skala postaci tych jest niezmiernie długa — od karłowatych, krzaczastych sośniaków, porastających moczary i trzęsawiska — do wysokopięnych kolosów masztowych, stanowiących krasonaszych borów.

Jest to przedstawicielka najstarszożytniejszej naszej flory kwiatowej. Znana już z utworów dolnych czwartorzędowych (dyluwialnych), przechodziła różne koleje rozpowszechniania się i cofania, zależnie od kolejnych zmian geologicznych, które na obszarze naszym zachodziły.

Zmniejszając się ilościowo w starych, wysokopięnych borach, wypierana stamtąd niekiedy przez świerk, dąb i brzozę — stosowana bywa z powodzeniem do utrwalaenia lotnych piasków, na których zasiąg swój rozszerza.

Starożytność sosny, sięgająca na obszarze naszym czasów dawnych, przedhistorycznych, tłómaczy istnienie w kraju naszym olbrzymiej ilości wsi, osad, rzek i jezior, od sosny swą nazwę wywodzących (Sosenka, Sosenki, Sosenkowo, Sosenkowszczyzna Sosinówka, Sosna, Sośnia, Sośniak, Sośniaki, Sośnica, Sosnie, Sośniczany, Sośniczowice, Sośnie, Sośnina, Sosnkowo, Sosno, Sosnopol, Sosnów, Sosnowa, Sosnowie, Sosnowiec, Sosnowice, Sosnowik, Sosnówka, Sosnowo, Sosnówszczyzna, Sosny i wiele innych).

Oprócz sosny pospolitej (*Pinus Silvestris*), występują u nas, jako zasadzone sztucznie (głównie w parkach) i inne gatunki sosny, a mianowicie *Pinus Australis*, *P. Maritima*, *P. Cembra*, *P. Strobus*, oraz w okolicach górskich *P. montana*, *P. uncinata* i *P. Mughus*. K. K-ł.



SOSNA Z OKOLIC ŁOWICZA I ARKADYI.



Nowy Rok na Ukrainie



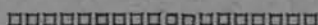
Jest na Ukrainie obyczaj, rozpowszechniony wszędzie wśród ludu, że na powitanie Nowego Roku, w śnieżny styczniowy poranek, wprowadzają do dworu lub domów zamożnych gospodarzy konia przybranego w różnobarwne wstążki, kraśne chusty, kolorowe powiewne pasy. Składają życzenia,

pozdrawiają, rozrzucając szerokim rzutem rąk zmieszane ziarna pszenicy, gryki, owsa; przemawiają zaś zwykle w słowach: pleń się (ródź się) żyto, pszenica, i wszelakie zboże (pasznycia). Otrzymawszy dątek, wychodzą, przyczem w niektórych okolicach śpiewają kolendę. Jest to prawdopodobnie dawna pozostałość—zabytki pogańskich, słowiańskich religijnych uroczystości. Koń jest zapewne emblematem nowego roku, siew zaś życzeniem dobrego urodzaju w roku następnym.

Załączone zdjęcie fotograficzne powitania noworocznego dokonane zostało we wsi Błoszczyńcach, gub. kijowskiej. W tej ostatniej oprócz konia, czeladź dworska ubiera rów-

nież we wstążki i chusty cielę i prosiaka — a dworskie kobiety koguta; wprowadzone do domu zwierzę, zaniepokojone i przestraszone skacze w śmiesznych lansadach po pokoju ku ogólnej ucieście i zadowoleniu zebranych.

W. Piotrowski.



Nowe książki.

Krótki przewodnik po Krakowie. Krótki przewodnik po Lwowie.

Pod powyższym tytułem wyszły nakładem „Krajowego Związku turystycznego” dwie broszurki, które pomnażają nieliczną literaturę przewodników po naszym kraju. Przewodniki te napisane są bardzo zwięźle, może nawet za zwięźle. Co do Krakowa, to wobec istnienia tego rodzaju wydawnictw, (że wspomnimy tu tylko o popularnym dziełku p. S. Warcholika, omawianem w „Ziemi” Nr. 7 z u. r.) nie odczuwano tak dalece potrzeby nowego przewodnika; ważną natomiast zasługą „Krajowego Związku turystycznego” jest wydanie tegoż przewodnika w języku niemieckim, gdyż niewątpliwie wytrąci on z rąk coraz liczniej do Krakowa przybywających cudzoziemców niemieckie „Bedeckery”, nie tylko zbyt pobieżnie, ale co gorsza, niejednokrotnie mylnie o nas informujące.

W przewodniku po Lwowie podnieść należy doskonale mimo swej zwięzłości rozdziały „zarys dziejów Lwowa” i „Pogląd na sztukę lwowską”.

Razi natomiast pobieżnością rozdział przewodnika po okolicach Lwowa. I tak z pośród miejscowości wy-

cieczkowych podlowskich pominięto Janów, licznie uczęszczaną stację klimatyczną z pięknym, ogromnym stawem i ciekawymi pieczarami w Stradczu; nie wspomniano zupełnie o pobliskich a znanych miejscowościach kąpielowych: Łubieniu i Pustomytach. Wśród godnych zwiedzenia miejscowości podano zamki w Brzeżanach i w Haliczu, a pominięto leżący tuż pod Lwowem zamek w Starem Siole.

W końcu nie od rzeczy byłaby wzmianka o małowniczach Dobrostanach (gdzie znajdują się wodociągi lwowskie), Dublanach, z wzorową gospodarką rolną i Akademią rolniczą, wreszcie o miejscowościach: Skole, Hrebenów, Tuchla, Żetemianna, w Beskidzie stryjskim, będących celem licznych wycieczek ze Lwowa.

Staranne wydanie, a w szczególności dobry druk i znakomite, nie pozostawiające nic do życzenia ryciny, wyraźne i dokładne plany obu miast i niska cena (60 halerzy za egzemplarz), stanowią dodatnią stronę tego wydawnictwa.

„Krajowy związek turystyczny” zapowiada wydanie przewodnika po uzdrowiskach i miejscowościach klimatycznych w Galicyi, i życzyliby sobie należało, aby zapowiedź tę jak najrychlej w czyn zamieniono.

W. F.



Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



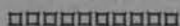
Dnia 27 grudnia r. z. odbyło się Zebranie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału P. Tow. Kr. w Siedlcach w obecności 19 osób i przy udziale delegatów Zarządu Głównego: prezesa K. Kulwiecia i mec. K. Rakowieckiego w sali Dyrekcji Tow. Kred. Ziem.

Posiedzenie zagał prezes Dyrekcji p. J. Rakowiecki, witając delegatów. Na przewodniczącego zaproszono prezesa K. Kulwiecia, który w imieniu Zarządu Głównego powitał obecnych i skreślił dzieje rozwoju Oddziałów prowincjonalnych Towarzystwa, podkreślając istotne oraz rzekome przeszkody, hamujące pomyślny rozwój niektórych placówek prowincjonalnych krajoznawstwa.

Sprawozdanie z czynności Oddziału złożył dotychczasowy prezes jego ks. kanonik Józef Scipio del Campo, sprawozdanie zaś rachunkowe skarbnik, p. Paweł Sokołowski, poczem rozwinęła się dyskusja nad sposobami ożywienia działalności Oddziału, nad ściślejszą organizacją Zarządu miejscowego i nad zakresem działalności. Zdecydowano główny nacisk w działalności Oddziału położyć na gromadzenie zbiorów do zapoczątkowanego już w r. 1909 Muzeum Podlaskiego.

Dokonane wybory powołały do Zarządu: pp. J. Rakowieckiego, H. Berezównę, P. Sokołowskiego, St. Dylewskiego, L. Markuszewskiego, Dobraczyńskiego, Szkulcieckiego, I. Taborowskiego; do Komisji rewizyjnej zaś pp.: A. Chrzanowskiego, M. Liszewską i Urbańskiego.

Zamykając posiedzenie, przewodniczący zreasumował przebieg dyskusji i uchwał, stwierdzając, iż uznano za konieczne dążyć do posiadania własnego lokalu, w którym zwiększając się zbiory Oddziału znaleźćby mogły należyte pomieszczenie i być udostępnione dla szerszego ogółu; poza tem upoważniono nowoobranego Zarząd do przyjęcia pracownika płatnego do prowadzenia czynności kancelaryjnych, podziękowano wreszcie za trudy ustępującemu Zarządowi w osobie ks. kanonika Scipio del Campo i Dyrekcji Tow. Kred. Ziem. w osobie prezesa I. Rakowieckiego za użyczoną w swym gmachu gościnność Oddziałowi Tow. Kr.



Kronika krajoznawcza.

Wyszła z druku broszura p. K. Kościńskiego o Tow. Ludoznawczem w Poznaniu, informująca czytelnika o stanie ludoznawstwa w Polsce wogóle, a w szczególności o historii zawiązania się Towarzystwa Ludoznawczego w Poznaniu, oraz w oddzielnej broszurze spis przedmiotów już zebranych i wystawionych. (Przewodnik po zbiorach Towarzystwa Ludoznawczego opracowała W. Cichowiczówna). Zbiory Towarzystwa tymczasowo umieszczono w wysokiej sali na IV-em piętrze gmachu Tow. Przyj. Nauk i na II-tem piętrze t. j. w dawnej sali posiedzeń, obecnie

prowadzącej do zbiorów historycznych. Skutkiem opóźnienia ani zbiory historyczne, ani zbiory rycin, ani numizmatyczne dotąd nie były dostępne zwiedzającym. Otwarcie nastąpiło 24 u. m. Najbogaciej występują w nich stroje włościan z różnych stron Wielkopolski na lalkach wielkości naturalnej z maskami, zrobionymi przez miejscowego rzeźbiarza p. Władysława Marcinkowskiego. Są prócz tego i mniejsze lalki z ubraniami oryginalnymi, albo dokładnie naśladowanymi. Sprzęty domowe, choć mniej liczne, aniżeli szczegóły do stroju ludowego należące, są także poustawiane; są to przeważnie wyroby drewniane i ceramiczne, ale także i metalowe, rogowe i inne. Mały jest dotąd udział sprzętów muzycznych; za to w dziale przedmiotów do kultu się odnoszących są takie rzeczy, które przechodzą już do działy historycznej, jak książki, ornaty, rzeźby, po części bardzo stare i niektóre bardzo cenne. Mogłyby równie dobrze figurować w Muzeum sztuki kościelnej, jakie założył ś. p. arcybiskup Stabilewski przy seminarjum duchownem (ul. Wieżowa), jak i w dziale historycznym Tow. Przyj. Nauk, dotąd nie urządzonej jeszcze i nieotwartym dla publiczności. Ofiarowane na ręce d-ra Fr. Chłapowskiego przed dwoma czy trzema laty malowane pocztówki i fotografie typów sirojów polskich (dar Tow. Krajoznawczego i p. Graevego z Sieradzkiego) są doskonale ułożone na tablicach ruchomych i uzupełniają braki zbioru poznańskiego, obfitującego głównie w przedmioty tamtejszej dzielnicy.

Wogóle całość robi wrażenie imponujące. W krótkim czasie udało się Przewodniczącej Towarzystwa Ludoznawczego pani Cichowiczowej i jej córce zebrać wiele rzeczy i to cennych, mianowicie związanych ze strojem żeńskim, a więc: haftów, złotogłowów i innego rodzaju czepców. Uderzający jest za to w porównaniu do zbiorów w innych dzielnicach polskich brak samodzielnich z sukna. Widocznie w Wielkopolsce już dawno tego przemysłu domowego zanichano. Brak też zupełny sprzętów, związanych przemysłem rolniczym, może dla tego, że zbyt duża miejsca zajmowałyby dawne wozy, sanie, sochy, pługi, brony szory, zaprzęgi, cepy i t. p. Miejmy nadzieję, że ten brak kto inny zapełni, stwarzając muzeum przemysłowe w Poznaniu. Oczywiście, że do historycznego muzeum mogłyby wchodzić takie zabytki z przeszłości, ale ich w Poznańskim nikt nie zbierał. Poznańskie muzeum historyczne — to był raczej zbiór relikwii narodowych. Kto chce w Poznaniu poznać, jakie dawniej robiono u nas zamki i odrzwia, drewniane lub żelazne, ten więcej zobaczy godnego widzenia w muzeum prowincjonalnem cesarza Fryderyka, niż w zbiorach polskich. Pomimo te braki w obecnej wystawie Tow. Ludoznawczego należy mu się największa pochwała, że tyle zebrało, tyle uporządkowało i umieściło w ciastnych dotychczasowych pomieszczeniach gmachu Tow. Przyjaciół Nauk, w którym zostawiono najlepsze i liczne sale parterowe dla zbiorów przedhistorycznych, wprowadzie bogatych, ale które nie powinny przyguszać ani historycznych pamiątek ani też etnograficznych zabytków krajowych. Przy dobrej woli mogłyby zbiory przedhistoryczne doskonale pomieścić się w połowie



sal, które obejmują. Wtedy doskonaleby się pomieściły i nieliczne zbiory historyczne Towarzystwa a także i dział etnograficzny w całości.

Właściwego działu antropologicznego Muzeum nie posiada. Kilkanaście czaszek, jakie posiadają zbiory przyrodnicze, choć pochodzą one z różnych części Polski, nie mogą sobie rościć do tego tytułu prawa, a trzeba wiedzieć, że większa część zbiorów przyrodniczych mieści się dotąd w suterynach, gdzie ma wciąż do walczenia z brakiem światła i z wilgocią, choć już dużo poczyniono, aby te sale uczynić możliwymi. Im więcej rosną zbiory Tew. Przyj. Nauk, tem więcej nasuwa się potrzeba dobrania na cele muzealne pierwszego piętra z domu frontowego, dotąd wynajętego.

†Korespondent nasz, p. Wandalin Szukiewicz, donosi nam, że we wsi Kalinówce-Kościelnej, leżącej w pobliżu historycznego Knyszyna w pow. białostockim gub. grodzieńskiej, gospodarz Wojciech Fiodorowicz, orząc na świeżej trzebieży, po wydobyciu zgnilego pnia olbrzymiej sosny, znalazł cały skarb bronzowy. Składał się on z 52 siekierok tutejkowych o jednym uchu, które były złożone w naczyniu glinianem kształtu dzisiejszej makotry, przykryte pokrywą też glinianą. Przy wydobywaniu skarbu z ziemi bez zachowania należytej ostrożności naczynie to w proch się rozsypało.

Z ogólnej liczby siekierok, 15 dostało się w ręce policyi, która odesłała je do Petersburga, jedną znalazca stopił w kuźni, próbując, czy nie jest to złoto, sześć rozeszło się po ludziach niewiedomo gdzie, trzecie zaś zostało nabyte dla jednego z naszych muzeów przedhistorycznych.

Siekierki są jednego typu, t. j. — jak to wyżej wspomniano—tutejkowe, o jednym uchu. Różnice między

nimi zasadzają się na wielkości i na ornamentach, jakimi urozmaicono powierzchnię. Wielkość siekierok waha się między 146 a 112 mm. długości i między 52 a 38 mm. długości ostrza. Ornament najczęstszy — to pręgi w liczbie 1—4 obiegające wokół krawędzi: pręgi takie, w jednej siekierce imitują sznur. Widzimy też na niektórych guziki wypukłe i oryginalne prążki wypukłe krótkie, wędzone wpoprzek i nieco naukos przez rowki idące w podłuż szerszych boków narzędzi. Wygląda to, jakby rzadki szew grubą nicią. Niektóre znów mają szlak z dwóch rzędów krótkich prążków ustawionych wokół krawędzi otworu i przedzielonych pręgiem poziomym. U kilku ucha u dołu mają zakończenie z sześciu prążków rozchodzących się wachlarzowo. Ucha najczęściej trójkątne, rzadziej łukowate. Zachodzą też różnice w ich umieszczeniu, bliżej lub dalej od krawędzi otworu. Ostrza są proste i łukowate; żadnego zużycia na nich nie znać. Patyna na narzędziach ciemno-zielona, trwała, w wielu miejscach otarta, prawdopodobnie przez znalazcę, który podejrzewał w nich metal szlachetniejszy od miedzi.

Wykopalisko to będzie opisane naukowo w rocznikach Akademii Umiejętności, a wówczas uwydatni się całe jego znaczenie. Dziś można rzec, że jest ono jedynym w naszym kraju, a jako takie ma dla nauki doniosłość ogromną.

□□□□□□□□

Odpowiedź Redakcyi.

P. Halinie Sz. w Ćwierku. Dziękując za łaskawą pamięć o nas, zawiadamiamy, że nadesłane nam wiadomości zakomunikowaliśmy miejscowej pracowni antropologicznej przy Muz. Przem. i Roln. do stosownego użytkowania.

Od Administracyi.

Prosimy Sz. Czytelników o wniesienie przedpłaty
za rok 1912.

TREŚĆ: *Maryan Wawrzeński* — Wawel-grodzisko. Zbiory Polskie. *ek* Biblioteka Jagiellońska (z 3 ryc.). *Adolf Dygasiński* — Janowiec (z 1 ryc.). *Jarostaw Wojciechowski* — Gieblo (z 3 ryc.). *M. Federowski* — Z galerii t. p. w i oryginałów litewskich. Mickiewicz na zaścianku. *K. K-ć* — Ze skarbów naszej przyrody. Sosna (1 ryc.). *W. Piotrowski* — Nowy Rok na Ukrainie (z 1 ryc.). Nowe książki. Z polskiego Tow. Krajoznawczego. Kronika krajoznawcza. Odpowiedzi Redakcyi. Poza tekstem: Z okolic Warszawy. Pod Milanówkiem.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście (motywy kujawskie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i dramał Edmund Józinski. — Odbijał na maszynie W. Kaczorowski. — Kłiszę wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.